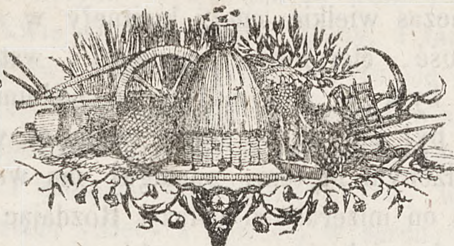
Tom V.  Nr. 14.

11. Listopada. 1861.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ś. MARCIN,
rycerz i biskup.

Na słowiańskiej ziemi, na tej ziemi, gdzie naszych dziadów i pradziadów pokrewne rody mieszkały, urodził się święty Marcin. Nie tylko więc wiarą prawdziwą jest nam bliski on św. rycerz i biskup, ale i tem, że pochodzi z tegoż samego wielkiego gniazda słowiańskiego, zkąd i my pochodzimy, a nie z żadnych Niemców i Włochów. Nie darmo też bierzemy sobie go bardzo często za patrona i opiekuna; chcąc zaś atoli wedle imienia i w ślady jego cnót wielkich wstępować, posłuchajmy tu historji jego świątobliwego żywota.

Nie minęło było i czterysta lat po narodzeniu Chrystusa Pana, jak żył św. Marcin; było więc jeszcze podonczas wiele pogaństwa i bałwochwalstwa na ziemi, a zgoła i ojciec świętego Marcina był także poganinem. Pomimo tego okazywał on święty od samego dzieciństwa wiele skłonności ku nauce Jezusa Chrystusa, do chrztu się gotując, a chociaż ojciec jako wojownik

do rycerskiego rzemiosła go wprawiał, przecież św. Marcin przez trzy lata między poganami na wojnie będąc, chęci swej do ochrzczenia się nie stracił, a owszem bardziej ją w sobie wzmocnił.

A już podonczas wielkie cnoty kwitnęły w świętym rycerzu: dziwna miłość, cierpliwość, pokora i wstrzemięźliwość. Największą atoli była w nim miłość ku bliźnim, dla której wszystko uczynić był gotów. Że sługą swoim w wojsku obchodził się jak z rodzonym bratem; pomagał mu we wszystkiem, a nieraz bywało i on mizerakowi usłuży. Rozdając zaś wszystko między ubogie, nie miał nic zgoła prócz tego, co mu najpotrzebniejszem było w rycerskim stanie.

A oto trafiło się raz, że gdy w czasie srogiego zimna wjeżdżał w bramę pewnego miasta, ujrzał nagiego i zziębniętego, co u przechodniów zmiłowania prosił. Poruszyło się serce św. Marcina na widok owej nędzy, spojrzał po sobie, lecz cóż, cały swój dobytek rozdał już był między ubogie, i nie miał nic prócz zbroi żołnierskiej i płaszcza. Ale ów nędzarz spogląda błagalnie drząc na całem ciele od zimna, a każdy z ludzi co przejdzie, to nawet nie spojrzy na biedaka. Więc święty rycerz skoczy czemprędzej z konia, a dobywszy szabli przecina płaszcz swój na dwoje, i jedną połówką nagiego nakrywa, a drugą wiesza na sobie! A na ten widok jedni ludzie śmiali się, a inni wstydząc się wzdychali, a św. Marcin zaspokojony w sercu widział tejże nocy we śnie Pana Jezusa, a na nim ową połowinę płaszcza dla ubogiego odciętą, gdyż sam Zbawiciel nauczał ludzi: iż cokolwiek ubogiemu uczynicie, mnie uczynicie!

I odtąd stał się Marcin święty najwierniejszym wyznawcą i sługą Chrystusowym, a porzuciwszy rycerskie rzemiosło, poszedł na naukę do św. Hilarjusza, wielkiemi cnotami i świątobliwością podonczas słynącego, i tam ćwiczył się w dobrem i służył Bogu. Aleć w nauce i cnotach wyćwiczony, przypomniał sobie rycerz święty, że jego ojcowie w grubej ciemnocie pogaństwa jeszcze pozostają. Więc wziął kij do ręki i szedł w w drogę, do swojego kraju.

Miło było św. Marcinowi, że wraca do rodzinnych kątów, że oglądnie tę ziemię i te drzewa i to niebo, które na świat przyszedłszy pierwszy raz obaczył. I szedł rzeźko, a idąc chwalił

Boga i nawracał ludzi, a taką siłę jego mowie nauka i cnoty dawały, że nawet rozbójnika do skruchy przywiódł, będąc przezeń w lesie napadniętym. Więc tak za wolą i pomocą Boską przyszedł szczęśliwie aż w rodzinne strony, i tam rzucił się w objęcia swych ojców. Atoli smutkiem okryło się wnet jego serce, bo jeno matkę mógł nakłonić do świętej wiary chrześcijańskiej, a ojciec uporczywie trwał w swojem pogaństwie. Nie pomagały prożby i zaklęcia kochającego syna, więc niezadługo musiał odejść Marcin święty z boleścią w sercu, musiał opuścić znowu rodzinne progi, nie mogąc ojca nawrócić.

Po różnych przykrościach i prześladowaniach w drodze i w obcych krajach, szedł po raz drugi św. Marcin do świątobliwego biskupa Hilarjusza, i nieopodal od niego zamknął się w klasztorze, a tam cichy i nieznany, cały swój żywot na służbę Bożą obrócił. I długo tam mieszkał, i bardzo wiele dobrego bliźnim swym czynił, zasługując sobie uczynkami swemi na chwałę niebieską. A gdy go podonczas na biskupstwo wołano, on wymawiał się od tego pełen pokory, a nie czując się godnym na pasterza, zamknął się w komórce, i nie wychodził ztamtąd, nie chcąc by go prożbami daremnie trudzono. Gdy atoli przyszedł był raz pewien człowiek do klasztoru, błagając go by poszedł do jego słabej niewiasty, a on wyszedł spełnić ten obowiązek kapłański: natenczas otoczyli go wierni na około, i tak gromadnie prowadzili do miasta, i tam w kościele biskupem go obwołali, na co inni biskupowie także się zgodzili.

Na tem wysokiem stanowisku pasterza będąc, nie zmienił św. Marcin zupełnie swojego sposobu życia; skromnie jadł, ubogo się ubierał, a między ludzi cały swój rozdawał dobytek. A tak wiele dobrego i cudownego czyniąc, doczekał wysokiej starości, i wielkiej za życia czci i miłości u ludzi. A gdy czuł, że mu już śmierć bliska, natenczas modlił się do Boga temi słowy:

— Panie, jeślim jest potrzebny ludowi twemu, z pracy się nie wymawiam: stań się wola Twoja. Ciężkoć w tym ciele zostać, a staremu jużby pokój był miły; ale jeśli robić jeszcze każesz, zdaję się na wolę Twoją, a jeśli mię już z pracy wypuścić chcesz, jako starganego laty i robotą, strzeż-że sam trzody Twojej.

I skoro niemoc go powaliła, to leżał we włosiennicy i na popielę, a z oczyma w górę zwróconemi i modlił się. A gdy go chcieli na miększą pościel przenieść, to nie pozwolił, mówiąc, że mu się nie godzi inaczej umierać. Jakoż tak oddał Bogu świątobliwego ducha, a był po zgonie uśmiechnięty cały, i ciało jego białe i niewinne jakoby niemowlęcia.

Ileż tu nauki dla nas z żywota tego świętego! Miłosierdzie i pokora, oto dwie wielkie cnoty, których nam tak bardzo brakuje! Ileż to razy pomijasz bracie biedaka w łachmanach drżącego od głodu i zimna, nie spojrzawszy nawet na niego, a ileż to razy wynosisz się nad drugich, bijesz i poniewierasz sługami, i pogardzasz każdym co mniej ma od ciebie? O zaprawdę! bez miłości bliźniego i bez pokory a łagodności w duchu i w uczynkach nie masz szczęścia na tej ziemi! Jeżeli cnotami temi nie ozdobicie serc waszych, to wrota niebieskie będą przed wami zaparte!

Z Bogiem!

Z Bogiem wszystko nasi starzy
Zaczynali i kończyli:
Więc wesołej byli twarzy,
I szczęśliwi każdej chwili.

Był dobytek, było zboże,
Bo czynili z bożą chwałą;
Dziś pług darmo skibę orze,
Szczęścia mało, chleba mało!

Smutne czasy, brak panuje,
Znać że Pan Bóg ludzi kara;
Nikt biednego nie ratuje,
Bo wygasła w sercach wiara.

Więc do Boga bracia mili
Wznoście prosząc wasze oczy:
A On serca wam nachyli,
Lepszą dolą was otoczy.

Gdy łza świeci w waszem oku,
Niedostatek gniecie strzechę:
To do Boga!... On z obłoku
Zeszle wkrótce wam pociechę.

Dziś wam smutno, złe się mnoży,
Każdy jęczy, że go ciśnie;
Więc mów pacierz! a gniew boży
W zlitowanie się rozbłyśnie.

Za Ojczyznę drogą waszą
Nieście modły, a w pokorze!
Gdy was smutki nie odstraszą,
To Bóg z nieba dopomoże! —

Józef z Bochni.

Jacy byli mój nieboszczyk pan ojciec, i co opowiadali o panu Kościuszce.

Mówią, że każda liszka swój ogonek chwali. Oj, nie dlatego pochwalę ja mego nieboszczyka pana ojca, że byli mym rodnym, ale że i cała wieś poświadczy za moim ojcem. Toć byli wciąż starszym Bractwa przy farze, a wiecie, że na starszego to tam byle kogo nie poda żaden z braci.

Więc przykładalić się też tam i pan ojciec do chwały Boskiej, a Pan Jezus dał się im za to doczekać starości nie lada. Osiemdziesiąt lat mieli, kiedy ich Pan Jezus zabrał do swojej chwały. Siwiutcy zmarli niebożątko przed sześciu laty. Wieczny odpoczynek i światłość wiekuista niech tam świeci ich duszy.

Serce się targa ze żalu, gdy wspomnę, że już nie ma na ziemi tego, którego ma dusza miłowała niezmiernie. Trudno, tak się widać panu Jezusowi podobało zostawić nas sierotami a im ukrócić niedoli ziemskiej. Bo przeżyli też mój ojciec biedy i kłopotów jak rzadko, a doświadczyli jak mało. I umieli z doświadczenia udzielić rady i pociechy każdemu, kto tego potrzebował. Często, o i bardzo często brał nas chłopców pan ojciec ze sobą w pole, a miał nas trzech synów, a wszystkich trzech do wojaczki przeznaczał, choć sam niebożątko wojaczki zaznał aż do syta.

Raz pamiętam szliśmy, a słońce miało się ku zachodowi; promienie jego odbijały się jaskrawo o wieżyce kościołów krakowskich i oświetlało mogiły drogich bohaterów: starego Krakusa i ulubionego Kościuszki. Bliski kopiec Kościuszki, na wzniosłej górze Sikorniku wzniesiony po nad wszystko co go otacza, a uwieńczony jasnym promieniem zachodzącego słońca, wyraźnie oznajmiał, że nagrobek taki nie zwykłych przypomina ludzi. Ponury cień góry a siarczyście oświetlona mogiła wzbudza już sama uszanowanie, choćbyś i nie wiedział kogoby ona wspominać miała. Zobacz każdy choć raz w życiu pomnik ten wspaniały!

Dziwnie też wpływał ten widok na nasze młodociane dusze. Posępieliśmy zaraz a patrzeliśmy wytężywszy oczęta. Pan ojciec opowiadali to i owo, ale skoro spoglądnęli na mogiłę i wspomnieli o panu Kościuszce, to im łzy jasne stanęły w oczach!

I cichе było milczenie za powrotem, a gdyśmy już byli w domu, jął pan ojciec w ten sens opowiadać:

— Kiedy Moskale uwzięli się na zatracenie naszej Ojczyzny, naród, co sobie prawa na odbudowanie swoje ułożył i prawa te konstytucyą 3go maja nazwał, widział w panu Kościuszce podporę swych uczciwych chęci i jedyną nadzieję ratunku. I nie zawiódł się nikt na panu Kościuszce. Przybyłci on do Krakowa a narodowi wierność zaprzysiągł, jak równie takiej przysięgi i od narodu zażądał. Oj pamiętam dzień ten: było to właśnie na wiosnę, bo 25 marca 1794 roku, a zdawało się też, że z wiosną nadchodzący rok wieczną w kraju wiosnę zaprowadzi. Siła ludu okolicznego zeszło się do starego Krakowa, a i ja widziałem na własne oczy pana Tadeusza Kościuszkę, widziałem jak trzymał miecz w ręku, a obok niego krwawo odbijała czerwona krakuska. Podniósł miecz w górę, i tym mieczem Moskali z kraju wypędzić przyrzekał.

— Nie boję się nieprzyjaciół — rzekł ukochany naczelnik — was się tylko boję!

A wiedział ci wiedział, że byli tacy co z Moskalem trzymali; oj zdrajcy nieszczęsni i nieuczciwi, bo nikt uczciwy z Moskalem jedno trzymać nie może. Więc zrobili, co chcieli: sprowadzili klęskę na wszystkich, a na siebie pogardę wieczną. Onić to byli, co niedbali o pana Kościuszkę kiedy on walczył i mozolił się z biednym narodem; onić opuścili i zdradzili drogiego naczelnika, bawili się i hulali, kiedy krew bratnia lała się ostatecznie pod Maciejowicami. Niech zaginą ich imiona wraz z ich czynami, bo też czyny takie nie powtórzą się nigdy w tej naszej ojczyźnie.

Skoro też słaba była pomoc, przegrał pan Kościuszko, ale z chwałą i sławą, a wdzięczny naród wielbi jego szczere i niezachwiane chęci, i tu oto usypał pomnik jego sławy a miłości ku niemu, i tu wyraził, że Kościuszko jest obrońcą konstytucji 3go maja, boć ze wspomnieniem Kościuszki łączy się oraz pamięć

tych praw narodu. A trzeci maj to święto narodowe, święto niezmierne, bo wspomnienie nadania praw, połączenia sie całego narodu przez równość i braterstwo, i wspomnienie obrońcy praw tych: ubóstwionego naczelnika Tadeusza Kościuszki. Od dnia tego rozpoczęła się też otwarta bójka z Moskalem szatanem i wszystkimi, co ciemności i głupoty ludzkiej pragną. Niech każdy więc ze czcią i wdzięcznością wspomina sobie na życie tego wojownika, na jego trudy i prace podjęte dla narodu, i na jego ogromną miłość dla swoich współziomków! —

Łzami się tu zalali pan ojciec i nic więcej mówić nie mogli. Wspomnielić sobie zapewne z boleścią wszystkie nieszczęścia, które nas po upadku obrońców spotkały. I myśmy posmutnieli, chociaśmy ta dzieci może i nie rozumieli dobrze wszystkiego, co nam pan ojciec rzekli. Po chwili rozweselił znów twarz swoją pan ojciec, gdy wspomniał, że Kościuszko Moskali tyrał i bił, jak na to zasłużyli. Więc tak mówił trochę weselej:

— Miałem lat dziewiętnaście, gdy pan Kościuszko stanął w Krakowie. Wszystko co żyło leciało do pana Kościuszki, bo wszyscy byli pewni, że on jeden zdolen wypędzić nieprzyjaciół, a oswobodzić Ojczyznę. Poleciałem-ci i ja za innymi, a nikt z chłopów nie został doma, chyba co ślepy i kulawy. Wszystko się łączyło z panem Kościuszką, bo go uważali ludziska jakby zesłanego z nieba na oswobodzenie nasze. Różne rzeczy rozprawiano też o tym wojowniku, o jego waleczności a odwadze. Wódz to był tęgi: sam zawsze naprzód, sam dojrzał i sam się wywiedział a osobiście opatrzył co było potrzeba. Wszędzie był i wszystko widział.

Raz potrzeba było doskonale rozpatrzeć, jak stoją Moskale. Pan Kościuszko sam osobiście przebiera się za chłopa, (choć i tak zwykle z chłopska się nosił, bo po krakowsku: w białej sukmance i czerwonej czapeczce); bierze nie wiele myśląc siekierkę na ramię i idzie wprost do obozu moskiewskiego, niby to na zarobek. Więc tam dali mu Moskale drwa do rąbania, a za robotę mieli zapłacić kawałkiem chleba takiego, jak sami jadają, a wiecie, że w wojsku takich tyranów to starsi co lepsze skradną i zjedzą, a żołnierzowi otrębami z piaskiem żywić się każą. Takiego chleba miał dostać pan Kościuszko za rąbanie

drwa; aleć jemu nie o chleb chodziło, jeno żeby się opatrzeć. Tak też zrobił: zobaczył gdzie? jak? co? i nuż w nocy z żołnierzami za panie brat pić i jeść. Popił łajdactwo tak, że i straż zasnęła, a on nuż do armat, i gwoździami het dziurki pozabijał, bo tak zagwożdżone armaty na nic, chyba je rozbić i przetopić. Tak im zrobił, a dla wydrwienia z nich zostawił jeszcze i porozrzucał karteczki z napisem:

Był tu Tadeusz Kościuszko, rąbał drwa:
Jutro Moskali nie zostanie ani dwa!

Zmiarkowali się Moskaliska, ale już było nie rychło, bo pan Kościuszko dotrzymał obietnicy święcie. Z rana zaraz hura nasi z Kościuszką naprzód, wysiekli wszystko co się broniło, na kwaśne jabłko, że i żywa dusza nie została, a zagwożdżone ich armaty potopili w błocie. I nie mało było uciechy a radości z tego wytępienia gnębicieli i tyranów, co nieproszeni do nas przyszli, chcąc nas drzeć choćby z ostatniego a trzymać w niewoli. Dla takich nie ma litości, bo jeźli nie my im, to oni nam to samo uczynią. —

Tu przestali i podumali chwilkę pan ojciec, a potem odchrząknąwszy, tak znów jęli prawić:

— Kiedy indziej przebrał się znów pan Kościuszko za parobka, niby maziarza, i wiózł maź na sprzedaż do obozu Moskali. I zobaczył też czego chciał! Moskale się śmiali z niezręczności maziarza, a on im za to porozrzucał karteczki:

Był tu Tadeusz Kościuszko z mazią:
Jużci Moskale z obozu nie wylazą!

A rozumie się że nie wyleźli, bo ich nasi zaraz otoczyli, i ani jednego cało nie wypuścili, wyrąbawszy do nogi. Toż cuda prawiono o panu Kościuszce, a wszystko to dowodzi, że Kościuszko był odważnym i śmiałym, jak rzadko. Zdradzili go, toż musiał paść zwyciężony.

Oj! nawiedza nas Pan Jezus nieszczęściem, ale też ma za co; bo niezmazane jeszcze ojców naszych przewinienia, co nie poznali zbawcy swego i nie uczcili należycie. Opuścili naczelnika, kiedy najwięcej na ich pewną pomoc rachował. A skutkiem u-

padku było podzielenie kraju naszego i wszystko złe, czegośmy doświadczyli.

Między trzy rządy podzielono Ojczyznę naszą. Tyrani Moskale, oj znacie ich i wiecie co się u nich dzieje: zabrali największy kawał ziemi, prześladują religię, wiarę naszą, wypędzają z kraju najzacniejszych ludzi a nasyłają takich, których od szubienicy odcięto. Nigdzie prawa, nigdzie sprawiedliwości, wszędzie samowola jak zwykle w tyrańskim rządzie, gdzie starszy młodszego za nic nie ma, a sam znów popychaczem przełożonego. Niepotem Prusak, pomocnik i sługa Moskala, odszczepieńca od wiary, chytry a zdradliwy, zabrał co mógł dopaść, jak zwykle nieuczciwym sposobem. Tam rządzi i kłamie sobie samemu, a dopuszcza się największych krzywd i zniewag uciśnionego ludu. Ostatni grosz oddałbym z chęcią, byle się tylko pozbyć tak okrutnych a zdradliwych rządów! —

Mój Boże! tak też robił nieboszczyk tatusieniek, jak mówił, choć mu tego Boże zachowaj! za złe nie mamy. Ale pamiętam ja jeszcze jak to było! Kiedy nasza pognębiona Ojczyzna podnosić się zaczynała, a młodzież biegła na ratunek: tak-ci przyszło do nas dwóch panów, pięknych i rosłych, co się przez Wisłę przeprawili, a Moskala bić spieszyli. Przyjął-ci ich nieboszczyk tatuś jak mogli, posilili się panowie, a pan ojciec na noc ich zatrzymać musiał koniecznie. Była to zima, mróz, a nie było w domu i trzaseczki drzewa, by w piecu dla tych panów zapalić. Sami oszczędzaliśmy się jak mogli; pan ojciec łożył, gdzie mógł komu dopomódz, aż brakło na wszystko zupełnie, że i opału nie było za co kupić.

— Weź ten koszyczek i chodź za mną! — rzekł pan ojciec do mnie.

Weszliśmy do stodoły, stanęli, a pan ojciec na przyciesi, chrast, chrast siekierką z belki, a ja zaniosłem trzaski i zapaliłem w piecu. Stodolina stoi do dziś dnia, a nikt nie wie, że się tam pamiątka dla mnie znajduje, co mi łzy z oczu wyciska, ile razy na ociosaną belkę spoglądnę. Wspominam sobie bowiem zaraz słowa ojca: że na dobro oswobodzenia Ojczyzny niczego żałować nie powinniśmy, jak to tatuś jak mógł czynili, a i nam tak czynić zalecali.

— Jeden rząd gorszy, niż drugi! — mówili nieraz pan ojciec. — Dręczy Moskal, ale już wie każdy przynajmniej, że to Moskal. Uciska też Prusak, a wykrętnym sposobem nazywa się sam ucywilizowanym, i za człowieka dobrego uchodzić pragnie. Nie ma już chyba gorszego stworzenia jak Prusaki, dlatego to obrzydłe robaki Prusakami nazywamy. Kto wie o ich początku, już się niemi brzydzić musi. A zapewne, tać to ich przodkowie byli zakonnikami, a opuścili świętą wiarę i zlutrzeli, by się babić mogli. Ot obrzydliwy to lud, i basta! Rząd austryjacki szanuje przynajmniej religię naszą, bo sam tę samą wiarę co i my wyznaje. Ale tamci inni to zgoła odbierają wolność, prawa, zabraniają mówić własnym językiem, a nasyłają ludzi obcych, by nami rządzili i z nami robili, co im się podoba. Kiedyż to kiedy zmieni się ta nasza dola nieszczęsna, której sami jesteśmy przyczyną za nasze wielkie grzechy i przewinienia ojców naszych. Poprawmy się a Bóg się nad nami zlituje! —

Tak zawsze kończyli opowiadanie nieboszczyk pan ojciec, a na tem i ja zakończę: — Poprawmy się, a Bóg się nad nami zlituje, i natchnie nas przez Ducha swego miłością ku sobie a odwagą do każdej walki ze złem, szkodliwem duszy i ciału.

Paweł z Uścia.

List Marcina Grzędy do Grzesia z Mogiły.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Witam Was mój Grzegorzu, choć tym oto piórkiem, kiedy już własną osobą serdecznie Was uściskać nie mogę, a pozdrawiam też i Waszą po starej znajomości. Może Was to zadziwi zkąd mię taka ochota do pisania napadła, aleć wnet wyrozumiecie jeno przeczytacie, że to korci choć opisać serdecznemu znajomemu, kiedy już powiedzieć nie można, co się tu ciekawego widziało i słyszało. Zaczynam więc w imię Boże.

Jakem wyjechał od Was, to wiecie żem jechał do pana Zaleskiego w służbę, za furmana. Owóż poszczęściła mi się ta

służba, bo jestem już prawie trzy kwartały, ale sobie nic a nic nie krzywduje; bo pan człek sumienny i sprawiedliwy, a przytem takici miękki i łagodny, że jeno słówko przemówi, a spokojnie a po przyjaźni, to choćbyś nie wiedzieć jaki był zły albo smutny, duchem cię chwyci za serce. A że też i pani dusza słodka i anielska, więc mi z takiem państwem jeno żyć aż do samej śmierci. Tęskni mi się czasem za Wami i za wszystkiemi, bo to człeka, choćby był i w niebie zawsze coś ciągnie do rodzinnego kąta, aleć wtedy sobie wesoło zaśpiewam, do roboty się chwycę, i jakoś to przeminie... A bodaj cię!... rozpisałem się o niepotrzebnych rzeczach, a czasu i papieru nie dużo, więc wracam do swego.

Owóż jakoś tak z tydzień przed narodzeniem przeczystej Panienki przyszedł pan do studni jakem poił konie i rzecze: — Mój Marcinie, wyciągnij-no powóz, oczyść go i oglądnij, bo da Bóg za trzy dni ruszymy w dalszą nieco drogę. A ja na to: — A dokądże to pojedziemy? — Wtedy pan mi rozpowiedział, że pojedziemy na odpust do Częstochowej, bo odpust będzie niesłychany, jako że z różnych stron polskiej ziemi ściągają tam kompanje. Więc ja z radości małom ze skóry nie wyskoczył, bom sobie przypomniał na to, co to o tej Częstochowie i o Jasnogórskim klasztorze zaraz w I tomie „Dzwonka“ a w trzecim numerku napisane stoi. I ucałowawszy pana w rękę na podziękowanie, że do tego świętego miejsca pojedziemy, wziąłem się zaraz krzątać koło koni i powozu, tak że trzeciego dnia rychło świt, wszystko już stało w porządku.

Jakoż więc wybraliśmy się do Częstochowy, pan mój czarno ubrany, pani też w czarnej sukni a z krzyżem na piersiach i z książką do nabożeństwa jak się patrzy; więc i ja „Złoty ołtarzyk“ schowałem do ferezji, a pani mi do krakowskiej czapeczki czarne wstążki przyszyła, bo to moiściewy het po całej polskiej ziemi teraz ludzie w grubej żałobie chodzą, a to wszystko z przyczyny tego Moskala niewiary, co niewinnych i bezbronnych zabija. W imię Boże, zrobiłem krzyż święty przed końmi i ruszyłem, a bez żadnej przygody dowiozłem moje państwo popołudniu do miasta Siewierza, zkąd jeszcze ze sześć mil będzie do samej Częstochowy. Więc tu wypadł popas. Sta-

nęliśmy w porządnej gospodzie, a tu nam powiedział gospodarz, że na drugi dzień wybierają się Siewierzanie wielką kompanją także na Jasną górę. Tak państwo, usłyszawszy to, uradzili w gospodzie przenocować, a nazajutrz z całą kompanją ruszyć do Częstochowy. Tak się też i stało.

Na drugi dzień zebrali się Siewierscy wielką gromadą; moi państwo nie wsiadali już do powozu, jeno się przyłączyli do kompanji, a ja szedłem koło koni, co się ot noga z nogi ciągły za procesją. Śliczne tam nieśli ci Siewierzanie chorągwie i obrazy, ale co najśliczniejsza, to była jedna chorągiew karmazynowa jak krew najczystsza, a na niej obraz przenajświętszej Panienki i krzyż Chrystusa Pana, a spodem ptak biały, niby orzeł. Śpiewaliśmy też różne śliczne pieśni: „Witaj królowo,“ „Ty któraś piękne dni swoje skończyła“ a także i dwie nowe pieśni którychem się na pamięć nauczył; jedna jest do „Matki Chrystusa“ a druga się zaczyna: „Boże coś Polskę,“ a na śliczną śpiewa się to nutę. Serce by wam się było nie mało uradowało mój Grzegorzu, gdybyście byli widzieli, jakto tam księża, mieszczanie, panowie z okolicznych wsi i włościanie bez żadnej różnicy razem szli i śpiewali, prosząc Boga, żeby było lepiej; tak mnie się nieraz łzy cisnęły do oczów gdym na to spoglądnął, i pomyślałem sobie: — Przecież Pan Bóg łaskaw zlitować się raczy nad nami, widząc jak to jego dzieci choć różnego stanu, razem odprawiają pielgrzymkę ku chwale Jego, śpiewając pieśni nabożne.

Moja pani, choć to mówię Wam słabe i delikatne jak kurczątko, dotrwała aż do samego końca; a nietylko że sama szła, lecz do tego niesła przez dobrą chwilę obraz razem z innemi paniami. Takci też więc w ślicznej procesji zbliżaliśmy się do Jasnej góry, zkąd też niezadługo wyszła ogromna kompanja ludu, a wszystko jeno aby nas powitać. Więc razem weszliśmy na górę i oddali hołd przeczystej Panience, Królowej polskiej. Ja się trochę opóźniłem, bom musiał przódy do gospody zajechać i wedle koni zrobić porządek, poczem oddawszy dozór znajomemu furmanowi, za dozwoleniem państwa udałem się za całą kompanją.

No, nic tam nie będzie dziwnego, jeźli Wam powiem, żem głowę z kretesem stracił na widok tego tłumu ludzi co był na Jasnej górze. Nic ci tam nie pomogło wspinać się choćby na palce, boś jeno widział głowy i głowy rojących się ludzi niby jedno jezioro. Księża Paulini, co są w klasztorze, ślicznie tam i usłużnie przyjmowali pobożnych pielgrzymów. Dla przedniejszych pań, które już biedaczki były pomęczone, otworzyli oni pyszne i wielkie pokoje, w których jeszcze królowie polscy przebywali! A jużci o wystawnych i uroczystych nabożeństwach, co to człowieka aż gdzieś do głębi serca przejmowały, to i napisać Wam zgoła nie potrafię. Wiem jeno tyle, że skorom się docisnął do kaplicy z cudownym obrazem Najświętszej Panienki, tom ci tak jeno upadł na kolana, dech mi w piersiach zgoła zaparło i łzy mi z oczów poleciały ciurkiem, a ja się tak w duchu modliłem: — O Panienko przenajświętsza, cudowna Matko Chrystusowa, a wstawże się Ty za nami u Syna Twego jedynaczka, coby nam już raz się polepszyło w tej przykrej naszej biedzie. A nie opuszczajże nas Orędowniczko i Mateńko nasza! — Ale co się wam tam będę chwalił z mojej modlitwy! Swiętą to powinnością każdego Chrześcjanina, a czem skromniejsza a bardziej z głębi serca pochodząca, tem więcej waży u Boga. Więceśmy się tam wszyscy dużo namodlili i naśpiewali, i prędzej czy później rzuci Pan Bóg łaskawym wzrokiem na te nasze proźby, i zeszle nam lepszą dolę. A mówili też tam i księża kazania takie rzewne i smutne, że się aż krajało po sercu, przy słowach, gdzie tylko przychodziło im opowiedzieć, cośmy się to już dla Chrystusa Pana i dla tej ziemi w niejednem nacierpieli.

Serdeczni też tam i ludziska są w tej Częstochowie! Przyjmowali cię i gościli gdzie tylko który mógł jakby rodzonego, choć i trudno było wystarczyć z gościnnością na taką liczbę ludzi. Wieczór zaś w dnie uroczyste odpustu, to stawiali wszędzie w oknach świeczki, tak, że ci cała Częstochowa wyglądała jak jedna latarnia, i zgoła podłą szpilkę byłbyś znalazł na ziemi!

Nie mało też człowiek był rozradowany i polepszony w sercu, gdy przyszło opuszczać Jasną górą. Smutno ci było jeno dlatego, żeś musiał żegnać poczciwych ludzi. Jakoż niejedni so-

bie pamiątki jakieś w drogę dawali, inni choć dobre słowo, aleć już co najsprawniej to się popisała nasza Siewierska kompanja, bo ofiarowała drugiej kompanji z Poznania swoją czerwoną chorągiew z obrazem Matki Boskiej i białym ptakiem, na znak przyjaźni i na pamiątkę onego spotkania na Jasnej górze. I uznali tem w onych ludziach z Poznania także swoich braci, choć tam oni pod innemi rządami, bo pod Prusakiem.

Tak też jęły się kompanje rozchodzić, więc i my w naszą stronę wraz z Siewierską kompanją; a śpiewaliśmy po drodze różne pieśni, a takie ładne, co żeby je wszystkie Wasz organista umiał i Was nauczył, toby ztąd nie mało było chwały Panu Bogu a ludziom pociechy. Moi państwo, choć nie mało zmęczeni, szli jednak piechotą aż do samego Siewierza, czemu ja się nie mało dziwił w duchu idąc znowu przy koniach za procesją, i myślałem sobie: — O mój Boże, widzę już w ludziach znaki łaski Twojej a naszej szczęśliwości, skoro taką pokorę i pobożność wszczepiasz w serca panów, boć też to nas robi braćmi w tej jednej chrześcijańskiej wierze.

Z Siewierza wsiedli państwo do powozu, i ztąd jednym dniem stanęliśmy już szczęśliwie w domu, gdzie ja mojemu dobremu panu jeszcze raz od serca podziękowałem, bo to moiściewy nie mała była dla serca mego pociecha i nie małe przyczynienie się do zbawienia duszy. Nie mogłem też wytrzymać mój Grzegorzu, moi Wy najmilsi, żeby Wam o tem wszystkiem nie napisać! A teraz, skorom już wszystko skończył, całuję Was po tysiąc razy i Waszą pozdrawiam i dzieciska ściskam serdecznie, a oddaję Was opiece Pana Boga najwyższego, i tej przeczystej Panienki Częstochowskiej.

RÓŻNOŚCI.

Żelazna kolej. Nie potrzebuję ta opowiadać, co to jest żelazna kolej albo *żeleźnica*, boć niejeden ją już widział, a kto nie widział to słyszał, że to są wielkie wozy na pakunki i osoby, a przed niemi piec i kocioł na wodę, z kołami tak dowcipnie zładowanemi, że skoro podpalisz, to para idzie w koła i pcha je po żelaznych szynach, i wszystkie wozy lecą jak sto djabłów! Siła to czasu i pracy trzeba do zbudowania takiej

koleji, bo to musi być usypana droga twarda, wysoka, a po drodze het żelazne sztaby i sztaby, i het co ćwierć mili chałupy dla wartowników, coby dawali pozór i kamienie z drogi umiatali. A trzeba też od miejsca do miejsca wymurować dom porządny, to dla starszych urzędników, to na wodę, na drzewo, na węgle, wreszcie dla podróżnych i na towary, co wszystko za jeden dzień się nie zrobi. Ciągnęło się też to zwolna ku nam, aleć się też i dociągnęło! Oto z początkiem tego miesiąca zaczęła już tu do Lwowa przyjeżdżać żeleźnica, z czego też i uciechy dużo, boć to wygoda nie mała. Chcesz sobie jechać w świat, toć i niewiele myśląc siadasz do pysznego woza, a tu świśnie, zachuczy, i leci cztery mile na godzinę, a ty sobie siedzisz jak król, i nie płacisz więcej jak 23 centy od mili, tak, że cię droga ze Lwowa do Przemyśla, co jest przecie mil trzynaście, jeno 3 reńskie kosztuje!

Wielki, ba i bardzo wielki pożytek z tej żeleźnicy; zaś będzie jeszcze większy, skoro ją poprowadzą dalej poza Lwów na Węgry i Podole, bo wtedy w którą zechcesz stronę, to sobie świśniesz jak ptaszek z towarem czy bez towaru.

Zabobon moskiewski. Na początku tego lata, rozeszła się między ludem w moskiewskim kraju wieść zabobonna, której wszyscy wnet uwierzyli. Powiadano że dlatego nieurodzaj wielki i głód nastanie, bo siła ludzi chodzi w kaftanach, chustach i spodniach z czerwonego perkalu, który jak mówili, farbują w psiej krwi: że to grzech chodzić po cerkwi w takiej przyodziewie, że się za to Pan Bóg pogniewał i głodem naród karze. Znaleźli się też i tacy co opowiadali, jako widzieli dwóch Świętych na polu, którzy powrózkiem od chodaków to pole mierzali i gadali do siebie: „to wypalić posuchą, a to zniszczyć ogniem!“ Więc strach wielki padł na ludzi; aż im ktoś doradził, żeby zabrali wszystkie czerwone suknie i zakopali w lesie, bo jeno tak mogą gniew Boski od siebie odwrócić. Jak się tedy nie rzucą wszyscy! nuż zrzucać ze siebie odzież: ten kaftan, drugi czapkę, tamta hustkę, jaki taki i ze skrzyni świąteczne wydobędzie, naznosili tego wielką kupę aż się czerwieniło i — jak im doradził mądry rajca — zawieźli do lasu i zakopali! A tak przez glupotę straciło marnie kilka wsi najlepszą przyodziewę, bo ani płatka czerwonego nikt sobie nie zostawił.

Otóż to zysk wierzyć takim baśniom i zabobonom! Gdyby byli Moskale troszeczkę nad tem pomyśleli, zaraz by im było przyszło do głowy że to bajki. Boć przecie każdy wie, że krwią płótna nie zafarbuje, bo by zaraz po pierwszem praniu nazad białe było; a po drugie, że ich Pan Bóg za co innego głodem karze, a nie za czerwone kaftany!

Które zwierzę najpodobniejsze do człowieka? W jednej szkółce w Polsce, gdzie Moskale panują, ale już da Bóg niedługo panować będą, odbywał się

egzamin: popis maluczkich chłopczyków. A zdarzyło się, że na popis ten przyszedł Moskal nadzorca szkół, sam głupi jak but, bo tam takich nadzorcami szkół robią, coby ci wszystek rozum ludzki w głupotę obrócili, a ludzi w niewolników ciemnych!

Toż wiadomo, że szkółek to tam ubywa ciągle, a o założeniu nowych ani myśleć nie dadzą. Co w tem, to i Prusacy Moskali naśladować myślą; bo tam rodzice z płaczem proszą o przyjęcie dzieci do szkoły, a Prusacy ani do szkoły przyjąć, ani szkół nowych zakładać nie dają. A u Moskala to jeszcze tak jest, że kogobądź profesorem zrobią, bylebyś ta dał łapowe jakiemu, co wyżej stoi; a bywały przypadki, że niejeden wojskowy, z którym sobie już nic poradzić nie mogli, dostał świadectwo, że za łajdactwo, pijaństwo, kradzież i inne najgorsze rzeczy, których się poczciwy człowiek i wymienić wstydził, skasowany i het wygnany z wojska a profesorem lub co więcej zarządzcą szkoły zrobiony. Uważajcież sobie: to nie żart! Łajdak największy posłany na profesora, by nasze dzieci wychowywał, kiedy ludzi najuczciwszych i najuczeńszych na Sybir w lody wyganiają. To u Moskali tak bywa, a bywa rzeczywiście, choćby temu najprostszy człowiek uwierzyć nie chciał. Jak tu tacy ludzie o dzieci dbać, a o ich wychowanie starać się mają osądźcie sami! O Boże! zlituj się nad narodem naszym utrapionym.

Rozsiadł się tedy nadzorca szkół, a nauczyciel miał słuchać chłopców historyi naturalnej o zwierzętach. Więc zacznie od tego:

— Powiedz mi chłopczyku, jakie zwierzę jest najpodobniejsze do człowieka?

Chłopczyk zalękniony, widząc takiego tyrana nadzorcę przed sobą, coby po wojskowemu, po moskiewsku i chłopczynie pałki sypać kazał, bo cóż to ta u nich, mówi nieśmiało: m- m- m...

— Dobrze, dobrze — rzekł nauczyciel ośmielając chłopca — więc któreż zwierzę najpodobniejsze do człowieka?

— M- Moskal! — krzyknął ośmielony chłopczyna.

Ztrętwiał poczciwy nauczyciel.

— Już po mnie — pomyślał sobie — przez tego chłopczynę stracę kawałek chleba, utrzymanie dla siebie i dzieci moich a może pójdę i do więzienia, bo ten Moskal, choć go dobrze chłopiec nazwał, pomyśli, że tu dzieci odemnie przezwiska na Moskali słyszą.

Na głośniejszą mowę zbudził się ze swego obrzydliwego marzenia i „co to?“ wykrzyknął moskiewski nadzorca szkół. A nie dosłyszał widać, co rzekł chłopczyk, bo myślał wtedy czart wie o czem, może o najniegodziwszych rzeczach; bo gdzieby Moskal o czem dobrem myślał.

Nauczyciel połapał się, bo zrozumiał, że Moskal nie wie o czem mowa, i z łagodnością rzecze:

— Dobrze, dobrze! małpa, małpa ze zwierząt najpodobniejsza do człowieka.

Egzamin ciągnął się dalej, a Moskal marzył jak marzył, i potem zdał sprawę, że się popis chłopców tak odbył lub owak, podług tego, jak go nauczyciel przyjął, lub jak mu się z powierzchowności podobał.

Każdy najporządniejszy człowiek marnieje pod takim rządem, gdzie trzeba być wielkim niegodziwcem, aby do wysokich dojść dostojności.

Przypowieści gospodarskie.

Jak od rosłego konia tęgi źrebak, a od dobrej dójki dobra dójka: tak i z dobrego ziarna więcej zboża i lepsze.

Nigdy ten nie żałował, co wczas zasiał i wczas się ożenił.

Wydawca odpowiedzialny za redakcye: E. Winiarz.